

Importowane pomysły złowrogiej czarodziejki



PREMIERA
„Armida” nie potwierdza, że zniszczono Warszawską Operę Kameralną, ale i nie zapowiada nowego rozdziału w jej dziejach.

Ucichły protesty po drastycznej reorganizacji przeprowadzonej w Warszawskiej Operze Kameralnej przez nową dyrekcję. Przyszła pora na uzyskanie odpowiedzi na pytanie o kondycję tego teatru po zmianach.

Pierwsza premiera – arcydzieło francuskiego baroku „Armida” Jeana-Baptiste’a Lully’ego – niewiele w tej kwestii objaśnia. Kupiono wystawioną już w paru krajach inscenizację i z częścią importowanych wykonawców wstawiono na warszawską scenę.

Spektakl w reżyserii Dedy Cristiny Colonne ma, co praw-

da, pewien urok. Reprezentuje elegancki sposób podejścia do barokowego teatru: stylowe stroje, wyszukane gesty i upozowanie postaci. Całość przyrządzona jest zaś z pewnym dystansem, by nie była to tylko historyczna rekonstrukcja.

Ta propozycja włoskiej inscenizatorki pozwala jednak tym bardziej docenić wartość dawnych reżyserskich dokonania Ryszarda Peryta na tej scenie. Już ćwierć wieku temu podążał on tym samym tropem stylistycznym, osiągając wszakże głębszą jedność muzyki, słowa i gestu.

Największą wartością „Armidy” jest to, co przetrwało z Warszawskiej Opery Kameralnej, zwłaszcza wysoki poziom muzyczny spektaklu. Ten zaś zagwarantował zespół instrumentów dawnych MACV, tym razem świetnie prowadzony

przez Australijczyka Benjamina Bayla, który z warszawskim teatrem współpracował za poprzedniej dyrekcji. Rozczarował natomiast otrzymany w pakiecie z inscenizacją dość chaotycznie tańczący zespół Nordic Baroque Dancers.

Wśród solistów także wyróżniali się ci, którzy tajniki interpretacyjne muzyki dawnej zgłębiali w WOK wcześniej, choćby Tomasz Rak, potrafiący nawet niewielką rolę Nienawiści zapisać w pamięć widza. Podobnie jak i Aleksander Kunach, kreujący Rinalda, tu z francuska nazwany Renaud, a którego serce postanowiła złamać czarodziejka Armida.

Młode śpiewaczki Aleksandra Żakiewicz (Phenice) i Aleksandra Borkiewicz (Sidonie) razily natomiast błędami intonacyjnymi. Marcelina Beucher ma wdzięk sceniczny,

co w roli Armidy ma znaczenie. Do tej dużej partii podeszła bez respektu, ale i bez wnikań w niuanse interpretacyjne. Było to dostrzegalne zwłaszcza w scenach z Jarosławem Brękiem (Hidraot), który wokalną klasą i wyczuciem stylu francuskiego baroku przewyższał wszystkich.

Spektakl nie wpisuje się więc „do historii sztuki operowej” i nie jest odnotowywany „przez krytyków całego świata”, jak napisano w programie. Taką „Armidą”, pokazaną na dodatek ze znacznymi skrótami, Europy nie zamykamy. Potrzeba więcej promocyjnej skromności oraz spokojnej, wyteżonej pracy. ©©

—Jacek Marczyński



Więcej zdjęć
z „Armidy” Lully’ego

rp.pl/kultura

♦ **Marcelina Beucher** jako Armida, bohaterka opery Lully’ego